Nr. 15. Lwów, 1 sierpnia 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

JAN GRZEGORZEWSKI.

Na łowach w Transwaalu i Kalaharze.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem stado umknęło tempem zwykłym jak u nas młode swawolne byczki w powrocie od wody podskakując i figlując na wsze strony, widocznie więc wcale się nie troszczyło o żadne pościgi. To właśnie podrażniło Pieta. Zagrała w nim krew rycerska, żądna oporu, ponagliwszy więc konia do ostatniego wysiłku, przypada ku stadu, skręca w bok i w ostatniego byka, który się odsadził, na pół staji od reszty, pali z odległości kilkunastu kroków w łopatkę w chwili skoku. Kula zesztrychowała kark, lekko raniwszy byka. Więcej mu niepotrzeba było. Robi szaloną woltę w prawo, na okamgnieniu stanął, zaświecił ślepiami, rozpruł ziemię racicą, i gdy ja wziąwszy go na sztych spudłowałem, on jak piorun w dwóch susach wpada na konia Pietowego, podsadza się łbem pod wspinającego sie mierzynka i brzuch mu rozpruł rogami. Tu już ja skoczywszy w poprzek przeszkodziłem był Gertowi i Van Mootowi przyjść do strzału, tembardziej, że na cały ten przebłeg niewiem czy poszło nawet ćwierć zdrowaśki. Rozjuszony byk daje dęba w chwili gdy koń z jeźdźcem przewrócił się na ziemię i zda się chciał przytłuc oba racicami. Ale nie doszło do tego, bo odemnie otrzymał w samo ucho kulę z re-

wolweru, a dwie burskie w brzuch. Zrywającego się zaś jeszcze z ziemi dobiłem kordelasem. Nadbiegli kafrowie mieli pod dostatkiem ciepłej juchy, a z Pietem skończyło się na lekkiem tylko potłuczeniu

Ale markotno było burom za koniem straconym, choć był licha wart. Uważniejszy Van Moot mówił mi, że bawoł dał dwa uderzenia: pierwsze było ślepe pchnięcie łbem, a od samego impetu przewrócił się koń i dopiero w chwili padania bodnął go rogami i przebił. Że ślepego phnięcia nie wytrzymał, to wina była chorobliwości mierzynka. Myśmy wszyscy mieli t. z. „*gesalzene*“, konie, które przebyły „*paarde-zieht*“ właściwą południowej Afryce chorobę końską i dla tego zabezpieczone przeciw niej, zahartowane, wytrwalsze, cenniejsze, gdy Pietowy, koń był w przededniu tej choroby.

Rozłożono ognisko po południu. Obsiedliśmy dokoła i postanowiliśmy tu nocować ze względu na konieczność spożytkowania mięsa bawolego dla kafrów. Dym i ogień odganiały uprzykszoną cecę i byłoby nie źle, gdyby nie skwaszone utratą konia miny. Wspominał mi był przed tem Piet, że mają u siebie w domu zapas piór strusich i skór lamparcich.

— Słuchaj, neef — powiadam mu — ile ty cenisz mego konia, nie tego, co jeżdżę tam, ale drugiego zapaśnego?

— Ek weet niet (nie wiem). Czy on solony?

— Nie.

— To może 16—18 funtów szterlingów a może i więcej.

— Zróbmy więc handel, ja ci odstąpię konia, a ty mi pół funta piór strusich.

— Ja niewiem, jabym bardzo rad, ale to zależy od brata.

— Eh, — mówi Van Moot — Oom Jan chce nam łaskę zrobić, teraz pół funta piór nie kosztuje więcej nad 8 funtów szterlingów.

— No, dobrze: co więc brakować będzie do ceny konia, dodacie skórami lamparciemi.

— Zgoda.

— *Ek es groot man hier.* (Ja tu teraz wielkim człowiekiem) — zawołał raźnie Piet....

— Czy dla tego, że się o twoją skórę targujemy? — przerywam mu ze śmiechem.

— Nie, ale że mi wstyd byłoby iść piechotą razem z kaframi.

Nie chciałem go jeszcze bardziej detonować z jego arystokratycznego gustu uwagą, że i mój kafr był konno.

— Iżeś walecznie poczynał, byłbym cię wziął na swego konia w naszym kraju, ale tu w tym klimacie tak urosłeś, że przełamałbyś mi szkapę.

A ładny był iście, krew z mlekiem 16-letni chłopak.

— Jego wziąć warto na konia, ale poto aby mu dać odlewanych kilkadziesiąt szamboków, mówi Van Moot, — a z surową miną zwracając się do młodszego brata, czyta mu admonicyą:

— Ty mi się niepłącz drugi raz przed strzelcami jak łoszę przed klaczą, bo nie wezmę nigdy na łowy.

— Prawdę powiedziawszy — odzywa się Gert — nie dobrze jest gonić stado i uderzać przed wejściem do kniei, bo po strzale może się odwrócić i uderzyć całą siłą na myśiiwych.

— Ja też czekałem, aż stado zacznie wchodzić w zarośle i chciałem odciąć ostatniego byka od reszty.

— Nie mów nieprawdy i milcz skoro starsi mówią A słuchaj — ofuknął go 30-letni brat. Po za tą apostrofą rozmowa potoczyła się wesoło, przeplatana opowiadaniami z poprzednich łowów i — pracą. Gert zajął się sprowadzeniem bawoła do obozu i ogniska, oddalonego prawie o kilometr drogi, co wymagało nie mało trudu, a nie chciano go zostawić na miejscu zgonu, bo obawiano się, że podwójna padlina końska i bawola sprowadzi hyeny i broń Boże — lwy, które w ogóle lubią ciągnąć za bawołami, a za lwami hyeny, jakby ich ciury czyhające na resztki zostawionego z królewskiej uczty łupu.

Kafrowie więc przywlekli bawola, wnętrzności jako przysmak zaraz zjedli, a polędwicę wykroili dla nas. Nie jedliśmy jej zaraz, bo upieczona zwykłym europejskim sposobem bawolina łykowata jest i nie smaczna. Krajowcy barwni lepszymi są w tym razie kuchmistrzami. Przyrządzili mięso tak, jak widziałem coś podobnego u czobanów bulgarskich w Bałkanach. Oto wykopali jamkę, rozniecili tam ogień z drzewa, a gdy spłonęło, do popiolu z żarem włożyli kawał polędwicy naszpikowanej tłuszczem i obwiniętej starannie liściem, z wierzchu przysypali tym samym popiolem i żarem, a na to lekko ziemią. I tak ona się dusiła i piekła godzin z osiem, niekiedy 12 i więcej. Wówczas bywa przysmakiem godnym stołu królewskiego.

Pewną ilość mięsa surowego zostawiliśmy na zapas. Pokrajano je na wąskie cienkie paseczki, które porozwieszano po gałęziach dla wysuszenia na słońcu. Tak wysuszone zowie się biltongiem. Mnie smakował bardzo w tych okolicach biltong z antylopy, ale nie chcieliśmy też zmarnować bawoła, zresztą biltong z niego znośnjejszy od pieczeni przyrządzonej, doraźnie, na rożnie.

Tymczasem na prędce tym ostatnim sposobem upiekliśmy chrapy, korzeniami przyprawne.

— Może wpierw wymacerować mięso, lub potłuc je trocha jakby na kotlety — mówię do Van Moota.

— A przecież Oon już go wymacerował, uderzając książką po pysku.

— Być może — odpowiadam, że to ten sam, i dla tego zapewne był się rozgniewał i chciał swoją racicę położyć na tobie, biorąc cię zamiast mnie.

Szczerzej wszakże od nas śmieli się kafrowie z bapedim kiedym ich zaszedł z nienacka z poza krzaku, śmieli się z głupich omlongos (białych ludzi), którzy nastawiają kark własny pod bawoła dlatego, aby dać później mięso naszym ludziom. A bapedi opowiada — jak ze swymi ludźmi mądrze poczynał, bo pilnował jeno kędy chodzą bawoły do wodopoju i tam zrobił jamę, bawół wpadł, a oni go zabili asegajami.

— A toć mój baas nie potrzebował i tyle się trudzić, jeno uderzył po pysku i już — stanął w obronie mojej mój Leng.

— Ba ten baas musi być sam lew drapieżny.

— No to jedzże to mięso, co twój baas zabił książką — odezwał się dowcipny sceptyk.

— A no, ty jeść nie będziesz, ale ja oto idę i da mi brat kawał z tego co się piecze teraz.

Już słońce zniżyło się ku zachodowi, straszny ryk lwa rozległ się w przestworach. Konie zaczęły strzydz uszyma, rwać, a po skórze ich dreszcz przebiegał jak mrowie. Myśmy się zerwali też na równe nogi i chwyciliśmy za flinty, a na ludzi krzyczymy, aby konie trzymali

i uwiązali. Ostrożność nie była zbyteczna, bo gdy po chwili ryk się ponowił, konie dęba stawać zaczęły, że ledwo utrzymać zdołano, a i tak mootowy wyrwał się i w panicznym strachu pomykać zaczął przez krzaki i zarośla. Dwóch kafrów puściło się za nim i dopiero go po godzinie pojmali. Jakiś niemiecki kupiec oddalony o kilometr od nas jechał bryką, ciągnioną przez ośm par wołów, które tak się spłoszyły ryku, że rwąc się w galopie to naprzód, to każdy w inną stronę, wywróciły brykę i tak wlokły ją o staję dalej, aż zaczepiły o pień drzewa i stanęły, dalej ruszyć nie mogły. Dzięki mocnej budowie wozu, doznał on tylko lekkiego uszkodzenia.

Ale o tem dowiedzieliśmy się dopiero później, bo wnet po drugim ryku co tchu skoczyliśmy w kierunku jego ku kniei, gdzie po paru minutach dopadłszy, słyszymy już zdala gwałtowne, sapanie i rzężenie, to znów szamotanie się i stękanie. Z flintami w pogotowiu do strzału, dwaj kafrowie uzbrojeni w noże za nami, rwąc sobie suknie i drapiąc twarz szkaradnie, przeciskamy się przez gąszcz na polankę, gdzie z przeciwległej strony widzimy do wykrotu drzewa formalnie przygwożdżozego rogami bawolemi lwa. Rozjuszony byk ostatniem pchnięciem wydobył posokę krwi, buchającej fontanną, a oczywiście tak był zacietrzewiony, że nas nie spostrzegł. Z odległości czterdziestu kroków, jakby na komendę daliśmy doń trzy strzały i ani zipnął, przewrócił się jak długi, kurcząc i wyprężając jeno nogi na ziemi.

— Baas! Ten lew bardzo jeszcze młody — odzywa się jeden z kafrów, zaglądając ofierze bawolej w szczękę.

— Dla tego też w głupocie swojej rzucił się na bawoła. Gdyby był starszym i mądrzejszym, nie próbowałby tego — komentuje Van Moot.

Skóra lwia mnie się dostała, jedna bawola Mootom, a druga Gertowi.

Wspaniałe to były okazy obu tych bawołów jak w ogóle wszystkich afrykańskich czyli t. z. kafarskich. Pokryte włosami, długie zwieszone ich uszy, dodają im powagi niemal takiej jak mają słonie, a wzrok dziki, łeb potężny, i rogi olbrzymie podnoszą grozę. Czarna barwa jego mieni się tonem brunatnawym. Ze wszystkich jego cech wnosiłbym, że nie musiał on tu przywędrować z Indyi, jak wielu mniewa. Na bałkańskiego zgoda, że jest odmianą indyjskiego, ale ten — wątpię: Dotychczas go tu udomowić nie zdołano, jak jego pobratymca w Bałkanach. Tak czy owak — coraz go tu mniej, lecz nietylko w Transwaalu ale nawet w Rhodesii, skąd go wypłaszają strzały i lokomotywy Chartered Campany z Cecile Rhodesem na czele. Jeszcze chwila, a i tu pisarz angielski zanotuje jak w 1620 roku lustratorowie polscy: „Znaleźliśmy w puszczy Jaktorowskiej już tylko jedną turzycę“. Na noc rozpaliliśmy silny ogień, a obóz myśliwski obwarowaliśmy dokoła podwójnym płotem, z chrustu i gałęzi kolczastych. Pławiąc się w łunie czerwonej, zdjął Van Moot kapelusz, a z piersi jego popłynęła modlitwa do Boga:

„Wysławiajcie Pana, albowiem dobry . . . . . Takci im on błogosławi, że się bardzo rozmnażają, a dobytku ich nie zmniejsza“.

* * *

Biczowanie zwierząt dla sprowadzenia deszczu (zażegnywanie posuchy), rola ognia w t. z. komach basutskich, obowiązek oczyszczania się po nieboszczyku, manipulacya z trupem dla praktyk czarodziejskich, słowem cały szereg zwyczajów i obrzędów praaryjskich tak dobrze znanych od wieków w Iranie, jak dziś jeszcze u nas, a praktykowanych z pewnemi odmianami w szczepie beczuańskim budził moja wielką ciekawość i stanął się przedmiotem badań moich w krajach z tej i tamtej strony Vaalu leżących, a zwłaszcza tam gdzie siedliska swoje mieli Basutowie. W tym celu często odbywałem wędrówki konne, piesze i kołowe po owem płaskowzgórzu orańsko-transwaalskim, z północy na południe i odwrotnie.

Jechałem z Middelburgu w Zoutpańskie góry na północ, zamierzając po drodze wycieczkę zrobić do wschodniego okręgu lydenburskiego, który jakiś czas tworzył samoistną republikę, aż się takowa zjednoczyła i zespoliła razem z całą transwaalską. Towarzyszył mi jako pachołek Nkacheleng, 20-letni Basuto, znający nieźle okolice owe, a wierny i przywiązany do mnie. Oba byliśmy konno, przynajmując po drodze od czasu do czasu 3 go konia jednego również z pachołkiem. Dobrze się tak podróżowało. Miałem jeno ciągłe zatargi z landrostami i feldkornetami, którzy nie chcieli pozwolić na to, aby Nkacheleng nosił przy sobie broń palną, zabronioną barwnym krajowcom, tak że się odwoływać musiałem do Pretoryi.

Na trzeci dzień po wyjeździe z Midelburga ocknęliśmy się na rozległej równinie, która od wzgórz Botha ciągnie się bez przerwy na 4—5 dni drogi ku północy, przeźnięta Olifantem i jego mizernemi na pół roku wysychającymi dopływami. Cała przestrzeń okrywa się po deszczach bujną, gęstą trawą, przerywaną tu i owdzie kępami krzów i chwastów, a nad brzegami rzek, zwłaszcza Olifanta — zaroślami i gajami ciernistej mimozy. Jest to u burów od krzów tak zwany Bosch Veld, dokąd oni ze znacznie wynioślejszego południowego Hooge-Veldu przyganiają swe stada bydła na pastwiska zimowe, t. j. od maja do września. Boszfeld inaczej zowie się Springbockfeldem od wielkiej ilości znajdujących się tu tej nazwy antylop, które tu albo przeważają odmianą swoją, albo imponują wielkością stad swoich wynoszących nieraz jedno od kilkuset do kilku tysięcy sztuk. Takie stado wędruje nieraz cała masą, przenosząc się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu wody Obfitość zwierzyny jeszcze i teraz może w podziw wprawiać nie jednego łowca. Przez zimę okropnie ją tępią burowie. Na przestrzeni jedno morgowej nieraz jej padnie sztuk kilkanaście i to grubej, w ciągu dnia jednego. A gdy się zbierze kompanja kilkunastu strzelców i natrafi na ciągnące stado liczne, to zdobycz sięgnie liczby kilkudziesięciu. Powstaje rzeź formalna, prześcigająca nawet wyniki polowań, urządzanych dla dorocznych gości w myśliwskich rewirach książątek niemieckich. Gdy tam po jednorazowej takie uczcie zaszanuje się zwierzyna przez rok cały, tu po zimowej kampanji czyni to sama cisza letnia, w ciągu której po wypłoszeniu części zwierzyny i emigracyi jej na północ, pozostała odpoczywa i rozmnaża się na nowo.

(C. d. n).



POLOWANIE NA ŻUBRA.

(Wyjątek z Krzyżaków, H. Sienkiewicza).

Wśród prześlicznych opisów życia, bojów, i miłości praojców, podaje Sienkiewicz mistrzowskie opisy polowań ówczesnych, z których jedno podajemy, załączając doń bardzo piękną illustracyę Batowskiago:

...Tu rozmowa umilkła na chwilę, albowiem z nad ciemnego boru i z nad rumianej zorzy podniosło się jasne słońce i rozświeciło okolicę. Powitali je rycerze zwykłem: „Niech będzie pochwalony!“ a następnie przeżegnawszy się, poczęli ranne pacierze.

Zych skończył pierwszy i uderzywszy się po kilkakroć w piersi, ozwał się do towarzyszów:

— Teraz się wam dobrze przypatrzę. Hej, zmieniliście się obaj... Wy, Maćku, musicie wpierw do zdrowia przyjść... Jagienka będzie miała o was staranie, bo to w waszym dworze baby nie uświeci... Ano, znać, że wam szczebrzuch tkwi między żebrami... I dobrze niebardzo...

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Pokaż-że się i ty... Oj, mocny Boże! Pamiętam cię maleńkim, jakoś przez ogon źrebakom na grzbiet łaził, a teraz, wciornaści, co za rycerzyki!... Z gęby czyste paniątko, ale chłop pleczysty... Takiemu się choć i z niedźwiedziem brać...

— Co mu ta niedźwiedź! — rzekł na to Maćko. — Toć młodszy był, niż dziś, gdy go ów Fryzyjczyk nazwał gołowąsem, a on, że to nie całkiem mu się spodobało, zaraz mu garścią wąsy wydarł...

— Wiem — przerwał Zych. — I potykaliście się potem, i wzięliście ich poczet. Wszystko mi rozpowiadał pan z Taczewa:

— Wyszeł Niemiec z wielgim zyskiem,
Pogrzebli go z gołym pyskiem,
Hoc! hoc!

I począł spoglądać na Zbyszka rozbawionemi oczyma, on zaś patrzył także z wielką ciekawością na jego długą, jak tyczka postać, na chudą twarz z ogromnym nosem i na okrągłe pełne śmiechu oczy.

— O! — rzekł: — przy takim sąsiedzie, byle Bóg stryjkowi wrócił zdrowie — to i nie będzie smutku.

— Lepiej mieć wesołego sąsiada, bo z wesołym nie może być zwady, — odrzekł Zych. — A teraz posłuchajcie, co wam po dobremu i po chrześcijańsku powiem. Doma dawnoście nie byli i porządków nijakich w Bogdańcu nie zastaniecie. Nie mówię: w gospodarstwie — bo opat dobrze gospodarzył... lasu szmat wykarczował i chłopów nowych osadził... Ale że sam jeno czasem dojeżdżał, więc w spiżarni będa pustki, ba, i w domu ledwie tam ława jaka jest — albo i wiązka grochowin do spania — a choremu potrzeba wygody. Więc wiecie co? — jedźcie ze mną do Zgorzelic. Zabawicie jaki miesiączek, albo dwa, to mi będzie po sercu, a bez ten czas Jagienka o Bogdańcu pomyśli. Tylko się na nią zdajcie i niech was głowa o nic nie boli... Zbysko będzie dojeżdżał gospodarki pilnować, a księdza opata też wam do Zgórzelisk, prowadzę, to się z nim porachujecie... O was, Maćku będzie dziewka miała taki starunek, jak o ojcu — a w chorobie babski starunek, od innego lepszy. No! Moiście wy! uczyńcieże tak, jako was proszę.

— Wiadoma rzecz, żeście dobry człowiek i zawszeście tacy byli, — odrzekł z pewnem wzruszeniem Maćko — ale widzicie, mam-li umrzeć przez tę juchę zadziorę, co mi pod ziobrem siedzi, to wolę na własnych śmieciach. Przytem w domu, choć ta człek i chory, to o niejedno się rozpyta, niejednego dopatrzy i niejedno zładzi. Jeśli Bóg każe iść na tamten świat — no. to niema rady! Czy przy większym starunku, czy przy mniejszym — jednako się nie wykręcisz. Do niewygód my na wojnie przywykli. Miła i wiącha grochowin temu, co przez kilka roków na gołej ziemi sypiał. Ale za wasze serce to wam szczerze dziękuję, i jeśli nie ja się wywdzięczę, to da Bóg Zbyszko się wywdzięczy.

Zych ze Zgorzelic, który słynął istotnie z dobroci i uczynności, począł znów nalegać i prosić, ale Maćko się uparł: kiedy umierać to na własnem podwórku! Cniło mu się oto bez tego Bogdańca całemi latami, więc teraz, gdy granica już niedaleko, nie wyrzeknie się go za nic, choćby to miał być ostatni nocleg. Bóg łaskaw i tak, że mu choć pozwolił tu się przewlec.

Tu roztarł pięściami łzy, które wezbrały mu pod po wiekami, obejrzał się wkoło i rzekł:

— Jeśli to już bory Wilka z Brzozowej to zaraz po południu dojedziem.

— Nie Wilka z Brzozowej, jeno ninie opatowe, — zauważył Zych.

Uśmiechnął się na to chory Maćko i po chwili odrzekł:

— Jeśli opatowe, to może kiedyś będą nasze.

— Ba! dopieroście mówili o śmierci, — zawołał wesolo Zych — a teraz chce wam się opata przetrzymać.

— Nie ja przetrzymam, jeno Zbyszko.

Dalszą rozmowę przerwały im odgłosy rogów w boru, które ozwały się daleko przed nimi. Zych wstrzymał zaraz konia i począł słuchać.

— Ktoś ci tu chyba poluje — rzekł. — Poczekajcie!

— Może Opat. Toby dobrze było, żebyśmy się zaraz spotkali.

— Cichajcie-no!

Tu zwrócił się do orszaku.

— Stój!

Stanęli. Rogi ozwały się bliżej, a w chwilkę później rozległo się szczekanie psów.

— Stój! — powtórzył Zych. — Ku nam idą.

Zbyszko zaś zeskoczył z konia i począł wołać:

— Dawajcie kuszę! może zwierz na nas wypadnie! wartko! wartko!



I porwawszy kuszę z rąk pachołka, wsparł ją o ziemię, przycisnął brzuchem, pochylił się, wyprężył grzbiet, jak łuk, i chwyciwszy palcami obu rąk cięciwę naciągnął ją w mgnienią oka na żelazny zastawnik, zaczem założył strzałę i skoczył przed siebie w bór.

— Napiął! bez korby ci napiął! — szepnął Zych, zdumiony przykładem tak nadzwyczajnej siły.

— Ho, to morowy chłop! — odszepnął z dumą Maćko.

Tymczasem rogi i granie psów ozwało się jeszcze bliżej, aż nagle po prawej stronie boru rozległ się ciężki tupot, trzask łamanych krzew i gałęzi — na drogę wypadł z gęstwiny, jak piorun stary brodaty żubr, z olbrzymią, nizko pochyloną głową z krwawemi oczyma i wywalonym ozorem, zziajany, straszny. Trafiwszy na wyrwę przydrożną, przesadził ją jednym skokiem, upadł z rozpędu na przednie nogi, ale podniósł się i już, już miał skryć się w gęstwinie po drugiej stronie drogi, gdy nagle zawarczała złowrogo cięciwa kuszy, rozległ się świst grotu, poczem zwierz wspiął się, zakręcił, ryknął okropnie i runął, jak gromem rażony na ziemię.

Zbyszko wychylił się z za drzewa, napiął znów kuszę i zbliżył się gotów do strzału, ku leżącemu bykowi, którego zadnie nogi kopały jeszcze ziemię.

Lecz popatrzywszy chwilę, zawrócił spokojnie do orszaku i zdaleka począł wołać:

— Tak dostał, aże gnojem popuścił!

— A niechże cię! — ozwał, się podjeżdżając Zych: od jednej strzały!

— Ba, blizko było, a to przecie okrutny pęd. Obaczcie: nie tylko żelezce, ale i brzechwa całkiem mu się schowała pod łopatką.

— Myśliwcy muszą być już blisko; pewnikiem ci go zabiorą.

— Nie dam! — odpowiedział Zbyszko: — na drodze zabit, a droga niczyja.

— A jeśli opat poluje?

— A jeśli opat, to niech go bierze.

Tymczasem z lasu wychyliły się naprzód psy, których było kilkanaście. Ujrzawszy zwierza, rzuciły się na niego ze strasznym harmiderem, zbiły się na nim w kupę i niebawem poczęły się między sobą gryźć.

— Zaraz będą i myśliwi — rzekł Zych. — Ot patrz! już są, jeno dalej przed nami wypadli i nie widzą jeszcze zwierza. Hop! hop! bywajcie tu, bywajcie!... leży! leży!...

Lecz nagle umilkł, przysłonił oczy ręką, a po chwili ozwał się:

— Dla Boga co-że to jest? Czym oślepł, czy mi się zdaje...

— Jeden na wronym koniu na przedzie — rzekł Zbyszko.

Lecz Zych zawołał nagle:

— Miły Jezu! dyć to chyba Jagienka!

I naraz począł krzyczeć:

— Jagna! Jagna!

Poczem ruszył naprzód, ale nim zdążył puścić w cwał podjezdka, Zbyszko ujrzał w najdziwniejsze w świecie widowisko: Oto na chybkim srokaczu sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w ręku i z oszczepem nn plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą jak zorza, na piersiach rozchełstaną koszulinę, a na koszuli serdak wełną do góry. Dopadłszy, osadziła na miejscu konia: przez chwilę na twarzy jej odbijało się niedowierzanie, zdumienie, radość — nakoniec jednak, nie mogąc świadectwom oczu i uszu zaprzeczyć, poczęła krzyczeć cienkim, nieco jeszcze dziecinnym głosem:

— Tatulo! tatuś najmilejsi!

I w mgnieniu oka zsunęła się z konia, a gdy Zych zeskoczył także dla powitania jej na ziemię, rzuciła mu się na szyję. Przez długi czas Zbyszko słyszał tylko odgłos pocałunków i dwa wyrazy: Tatulo! Jagula! Tatulo! Jagula!!“ — powtarzane w radosnem upojeniu.

Nadjechały oba poczty, nadjechał na wozie Maćko, a oni jeszcze powtarzali: „Tatulo! Jagula!“ i jeszcze się obejmowali za szyję. Aż gdy wreszcie mieli już do sytu powitań i okrzyków, poczęła go Jagienka wypytywać:

— To z wojny wracacie? Zdrowiście aby?

— Z wojny. Co nie mam być zdrów! A ty? A młodsze chłopaki? Myślę, że zdrowe — tak? Bo inaczej nie latałabyś po lesie. Ale coże ty tu robisz najlepszego, dziewczyno?

— Przecie widzicie: poluję — odpowiedziała, śmiejąc się, Jagienka.

— W cudzych lasach?

— Opat dał mi pozwoleństwo. Jeszcze przysłał pachołków do tego uczonych i psy.

Tu zwróciła się do swej czeladzi.

— A odpędzić mi ta psy, bo skórę podrą!

Poczem do Zycha:

— Oj, też rada jestem, rada, że was widzę!... U nas wszystko dobrze.

— A jam to nie rad? — odparł Zych. Dajże jeszcze dziewucho, pyska!

I poczęli się znów całować, a gdy skończyli, Jagna rzekła.

— Do domu okrutny szmat drogi... tageśmy się za oną bestyą zagnali. Chyba ze dwie mileśmy gnali, że już i konie ustawały. Ale tęgi żubr — widzieliście?... ma on ze trzy moje strzały w sobie, a od ostatniej musiał paść.

— Padł on od ostatniej, ale nie od twojej: ten to rycerzyk go ustrzelił.

Jagienka odgarnęła dłonią włos, które się jej nasunęły na oczy, i spojrzała bystro, lubo niezbyt życzliwie na Zbyszka.

— Wiesz, kto to jest? — Spytał Zych.

— Nie wiem.

— Nie dziwota, żeś go nie poznała, bo wyrósł. Ale może starego Maćka z Bogdańca poznasz?

— Dla Boga! to Maćko z Bogdańca! — zawołała Jagienka.

I zbliżywszy się do woza, pocałowała Maćka w rękę.

— Toście wy?

— A ja. Jenom na wozie, bo mnie Niemcy postrzelili.

— Jakie Niemcy? pewnie to z Tatary była wojna? Wiem ci ja to, bom się niemało tutula naprosiła, żeby mnie z sobą wziął.

— Była wojna z tatary, ale my na niej nie byli, bośmy na Litwie przedtem wojowali i ja, i Zbyszko.

— A gdzie jest Zbyszko?

— Toś nie poznała, że to Zbyszko? — rzekł ze śmiechem Maćko.

— To jest Zbyszko? — zawołała dziewczyna, spoglądając znów na młodego rycerza.

— A jakże!

— Daj-że mu po znajomości gęby, — zawołał wesoło Zych.

Jagienka zwróciła się żywo ku Zbyszkowi, lecz nagle cofnęła się i zakrywszy ręką oczy, rzekła:

— Kiedy się wstydam...

— My się przecie od małości znamy? — ozwał się Zbyszko.

— Aha! dobrze się znamy. Pamiętam ci ja, pamiętam! Z ośm roków temu, przyjechaliście do nas z Mackiem, i nieboszczka matuta przynieśli nam orzechów z miodem. A wy, jak jeno starsi wyśli z izby, zaraz mnie pięścią w nos, a orzechy samiście zjedli!

— Nie uczyniłby on teraz tego! — rzekł Maćko. — U kniazia Witolda bywał, w Krakowie na zamku bywał i obyczaj dworski zna.

Lecz Jagience przyszło co innego do głowy, zwróciwszy się bowiem do Zbyszka, spytała:

— To wyście żubra zabili?

— Ja.

— Obejrzym, gdzie tkwi grot.

— Nie obaczycie, bo mu się całkiem pochował pod łopatką.

— Daj spokój, nie prawuj się, — rzekł Zych. — Widzielim wszyscy, jak go ustrzelił, i widzielim jeszcze coś lepszego, bo kuszę w mig bez korby naciągnął.

Jagienka spojrzała po raz trzeci na Zbyszka, ale tym razem z podziwem:

— Naciągnęliście kuszę bez korby? — spytała.

Zbyszko odczuł w jej głosie jakby pewne niedowierzanie, wsparł więc o ziemię kuszę, którą był poprzednio spuścił, naciągnął ją w mgnieniu oka, aż zaskrzypiała żelazna obręcz, poczem chcąc pokazać, że zna dworski obyczaj, przyklęknął na jedno kolano i podał ją Jagience.

Dziewczyna zaś, zamiast ją wziąć z jego rąk, zaczerwieniła się nagle, sama nie wiedząc dlaczego, i poczęła zaciągać pod szyją zgrzebną koszulę, która się była od szybkiej jazdy po lesie otwarła....



Do druhów myśliwskich.

Już woła, druhowie nas pole i las,
Rozkoszy łowieckiej zawitał nam czas!
Tak długo w tęsknocie wzdychaliśmy doń,
A kurzem myśliwska pokryła się broń.

Więc rzućmy kłopoty i troski i ból,
I spieszmy odetchnąć śród gajów i pól,
A kto z nas przykuty do pracy wciąż był,
Na łonie przyrody przybędzie mu sił.

Już milknie śpiew ptaków i cichnie już bór,
Lecz znowu ożywi myśliwski go chór:
Miłymi tonami odezwie się róg,
I wrzawa pogonki i strzałów wraz huk.

W tajniki przyrody zagłębi się duch,
Melodyą przestworu zachwyci się słuch,
I wdzięku nabierze i życie i świat,
I szczęście nam wróci młodzieńczych znów lat!

Jan Kornicki.



Sprawozdania delegatów.

(Dokończenie).

Z wielu okolic w sprawozdaniach pp. Delegatów dają słyszeć złorzeczenia i skargi na kłusownictwo i kłusowników, ale gdzież ich niema — a jaka ich jest ilość w Bireckim, to niedouwierzania, zwłaszcza od czasu zaprowadzenia ustawy o kartach myśliwskich. Nie jest to żart i niema się tu z czego śmiać i temu dziwić, bo to fakt. Wielką podobno miał racyę szanowny poseł Stanisław Gniewosz, gdy się swego czasu w Sejmie sprzeciwiał tej ustawie, wychodząc zapewne z tego zapatrywania, że gdy każdy uprawniony właściciel polowania, chcąc polować będzie musiał zaopatrzyć się w kartę myśliwską, słono ją opłacać, to kłusownik jej nie nabędzie — (rzecz bardzo prosta i zrozumiała, bo choćby i chciał ją nabyć, toć mu jej przecież Starostwo nie wyda) i będzie tępił zwierzynę dalej tak samo, jak przed ustawą o kartach myśliwskich — tylko z tem większą zawziętością, ostrożnością i złośliwo-

ścią, w solidarnej łączności między sobą, do równego podziału w zysku, i będzie się śmiał i drwił sobie z całej tej ustawy.

W okolicy też Birczańskiej kłusownictwo rozwija się co raz lepiej z planem i wyrafinowaną ostrożnością, niebywałą w tym stopniu przed wydaniem ustawy o kartach myśliwskich. Kłusownik taki wychodząc na łowy, idzie sobie całkiem spokojnie z laską bez żadnej broni i tak samo z polowania wraca do domu — mają oni swoje futerały na strzelby w dudławych jodłach, bukach lub pniakach w lesie, w polu zaś różne schowki po potokach lub w gąszczu jałowców. Przy takim też sposobie ostrożności polują sobie w dzień, polują na zasiadkę w nocy, polują cały boży rok w święto i nieświęto, a żaden z nich nie ma nietylko karty myśliwskiej ale nawet karty na broń. Na przykład: w gminach Brzeżawie, Dobrzance Dobra szlachecka i Dobra rustykalna — ani jeden nie ma karty na broń i ani jeden karty myśliwskiej a ile jest numerów domów, to bodaj czy nie dziesiąta chałupa jest przynajmiej jeden myśliwy i polują zawzięcie, jak mówię, cały boży rok, tak w dzień jak w nocy, tak w święto jak i nieświęto. Czas ochronny u nich nieznany. Przejść tę gminę wzdłuż, wszerz i na poprzek i na wszystkie strony, to znajdzież, że zając tu i owdzie pożerował — tam lis pomyszkował, ale jestto zwierz obcy i tu nie siedzi a tylko na żer w pola wychodzi z sąsiednich lasów. Z jesieni tylko po krajach od granic bywa zwierzyna i w tych gminach, ale jak tylko pierwszy śnieg spadnie — w momencie oni tam z tą zwierzyną się uprzątną i co do nogi wybiją, a potem co? nic — idzie się jak zwykle na polowanie w sąsiednie lasy i pola bez pozwolenia właściciela, bez karty na broń i bez karty myśliwskiej. I jakaż na to rada — czy może żandarmerya lub ustanowiona straż myśliwska temu zapobiec? Ależ to się wszystko na nic zdało, bo ani żandarm ani strażnik lasowy, w tych tu wertepach nie jest w stanie wyłapać na gorącym uczynku ani co setnego kłusownika — wreszcie nie byłoby się czemu dziwić, gdyby i żandarmerya poprostu nie była może zniechęconą niejednym przykładem, gdy widzi jak odebraną kłusownikom broń i odesłaną do Starostwa, ci kłusownicy niosą napowrót do domu i z tryumfem tak uzbrojeni defilują naumyślnie poprzed okna koszar c. k. żandarmeryi. Trzeba jednak przyznać, że od czasu gdy *„Łowiec“* zaczął takie usterki wytykać, widocznie zwrócono na to uwagę — bo i sami p. Starostowie już tu i owdzie wystosowują energiczne okólniki co do kłusownictwa do zwierzchności gminnych a i Sądy surowo takich kłusowników karzą, miejmy więc nadzieję, że przecież z czasem i u nas pod względem łowiectwa nastąpią lepsze czasy. Gdyby pp. Starostowie użyć chcieli tego sposobu pod osobistą odpowiedzialnością zawezwali wójtów, i z góry zagrozilili im grzywną 50 koron za każdego kłusownika— jeżeliby go żandarm lub straż lasowa przychwyciła z pewnością zniklIby kłusownicy — gdyż najczęściej wójt sam jest kłusownikiem lub jego synowie, bracia, kumy i t. d. a we wsi wszyscy o sobie wiedzą. Na razie jednak smutnem jeszcze jest i to, że takimi kłusownikami posługują się nietylko wogólności żydzi handlarze, nietylko właściciel dóbr, żyd, mający własne prawo polowania, ale trafia się jeszcze i taki *„casus“*, że nieraz i właścicielka prawa polowania takich kłusowników uprasza sobie do pomocy polowania u siebie, z tą różnicą od żydów, że ich z pewnością kraść zwierzynę w cudze knieje nie wysela, jednak oni korzystając z okazyi sami tam idą i z tą różnicą, że gdy żydkowie nabytą zwierzynę sprzedają i nią handel prowadzą, to szanowna sąsiadka przez kłusowników zaproszonych do pomocy w polowaniu ubitą zwierzynę zaopatruje tylko swoją spiżarnię — ma się rozumieć, że przytem choć sama właścicielka tego polowania ani nawet się domyśla, tacy wynajmowani i uproszeni do pomocy w polowaniu kłusownicy wraz z jej gajowymi lub nawet pseudo leśniczym — zabitej zwierzyny, przy takim wykonywaniu prawa polowania, biorą sobie 90% dla siebie do wspólnego podziału a resztę dopiero oddają pani, od której otrzymują nadto nagrodę podjętych trudów suty napitek i poczęstunek.

Jakaż to więc zachęta dla kłusowników — bo to i sąsiedzką przysługę robi się W. pani i raubszycuje się przytem dla siebie o 90-ciu procentach zysku, zje się dobre śniadanie i dobrą wieczerzę i ma się jeszcze dodatek w gotówce na parę półkwaterków wódki. Rezultat stanu zwierzyny w takich miejscowościach jest w przykładzie następujący — na 1200 morgów obszaru dworskiego a ze 2000 gminnego jeden lub dwa zające i 5 sztuk jeszcze niedobitych kuropatw — kłusownik zatem nie mając tu co robić, nachodzi obce terena jak Bireckie, Ułuckie i te, w których są ci nieliczni już — zacofańcy, co to starym zwyczajem swoich praojców polują jeszcze z psami i co to idąc do lasu z strzelbą na ramieniu prowadząc psy na sforach nucą sobie wesoło. A moje pieski kochane. Tak były posforowane — a u których, jak wyżej zaznaczyłem, jest stosunkowo i pod względem rozmaitości i pod względem ilości stan zwierzyny nawet pomyślniejszy, niż tam, gdzie polują tylko z nagonką i psy gończe sąsiadów niekłusowników bez pardonu strzelają, śmiejąc się przytem z dawnej obrony starych myśliwych przytaczających na swoje uniewinnienie „że pies granicy nie zna“ chociaż przyznaję, że takie usprawiedliwienie jest sobie trochę za naiwne.

Pozostaję mi wspomnieć jeszcze i o tych obszarach na których dziedzicznem prawem siedzą tacy właściciele co to nie wierząc ani św. Huberta, ani w żadne Dyanki i Sylwanki uznali, jak to już wyżej wspomniałem, za słuszne nie mieć ani ze strzelbą ani z polowaniem nic do czynienia jednak dla honoru sami u siebie wykonują swoje prawo polowania — lecz w jaki sposób? oto przez wyręczanie się swemi pobereżnikami, lub jak ich nazywają gdzie indziej gajowymi a także też i leśnymi. Swoją drogą wychodzą oni także osobiście na upatrzonego zająca, ale tylko z widelcem i nożem, gdy im go na półmisku z dobrze przyrządzoną sałatą podadzą.

Otóż tacy pobereźnicy — leśni czy gajowi, gdzie właściciel polowania sam nie poluje i na łowiectwie się nie rozumie, polują sobie w najlepsze ale dla siebie — niegłupi dla dziedzica, w którego imieniu znów pani dziedziczka nieraz i swarzy i upomina się i odgraża swym strzelcom, (o, bo oni są doskonałymi strzelcami) za małą ilość dostarczanej przez nich zwierzyny na stół pański. Taki pobereżnik leśny czy gajowy to szczwany lis i kuty na cztery nogi myśliwiec, — zazdrośny o kłusownika, wcale z nim kompanii nie trzyma — owszem kłusownik przed nim jest z większym respektem niż przed wszystkiemi ustawami i żandarmami — więc też taki pobereżnik, gdy mu jego chlebodawcy wyrzuty czyni o brak zwierzyny w śpiżarni, zawsze się umie wymówić — to, że dziś pole suche i liść opada, więc psy nie chcą gnać,

to ostre, bo skorupa i gołoledź, psy łapy pokaleczyły a jeden nawet pazur załamał, i kroku nie postąpi — wreszcie już trzeci dzień burza z śnieżycą i wszystko daremnie, bo zaraz ślad zawiewa i pies znów z pogoni — (a tu i to trza wiedzieć, że trzyma własne psy nie pańskie, na których utrzymanie skarbnic nie wydaje), to że mało w tym roku zajęcy i jakoby się zdaje, że musiały na motylicę wyginąć. Sarn, ma się rozumieć, że gdy je dawno już wybili i psami wypłoszyli, więc ich także nie ma — ale jak „trza to trza“ i zniżając głos mówi już dalej półszeptem jakoby do siebie samego, ta — „chybaby na zasiadkę pójść w „Kameralskie“ tam i sarny są — o są“! Rezultat tej myśliwskiej pogadanki kończy się zwykle na tem, że pani idzie do szafki, dostaje flaszkę z wódką, nalewa spory kielich a podając go mówi: naże ci, mój Grześku, wypij, ale proszę cię żebym też jeszcze w tym tygodniu koniecznie mogła mieć sarnę i z parę zajęcy, bo to widzisz są imieniny pana i będą goście — przecież i w naszych lasach powinny być sarny. Stary Grześko wypił, musnął się po wąsach — skłonił i już z nadzieją odparł: „ta — trafi się i sarna, Wielmozna pani, jak trza to trza“.

I poszedł w Kameralskie, zabił dwie kozy, jedną oddał do dworu, drugą zjadł sam — o, bo jak „trza to trza“. Tymczasem daj Boże każdemu uprawnionemu właścicielowi polowania tylko tyle upolować zwierzyny, ile taka straż leśna u takiego chlebodawcy dla siebie jej ubije i zeskamotuje a niewiele mu już do pożądania więcej zostanie.

Powie ktoś — przecież tacy pobereżnicy leśni czy gajowi jest to zwykle straż zaprzysiężona więc. . . . . . . Więc cóż? Ej. jeszcze jego ojciec był w tym dworze za leśnego — po ojcu on wstąpił do służby, zaprzysiągł w Starostwie, otrzymał dekret (legitymacyę), no i służył tak długo, dopóki czego nie zbroił i nie został ze służby odprawiony — lub też tak sobie z grymasu sam nie podziękował, przestał być leśnym, co go uwolniło od przysięgi. Tak pauzował w domu z jaki rok lub więcej — lecz w końcu znów wstąpił do tego samego dworu na służbę w charakterze strażnika lasowego — ale o tem, że wystąpił lub że został odprawiony i znów wstąpił do służby za leśnego—Starostwo nic nie wiedziało i nie wie — jest więc dalej strażnikiem lasowym, za tą samą dawną kartą legitymacyjną wydaną mu przez Starostwo po zaprzysiężeniu go na strażnika lasowego przed kilku laty — ale dziś już bez waloru przysięgi i nieobowiązującą.

Zaprawdę, że tam gdzie właściciel polowania i chlebodawca sam nie jest myśliwym i nie ma najmniejszego pojęcia o łowiectwie i tylko dla utrzymania honoru swego prawa polowania jego straż leśna poluje, nie ma większej plagi dla sąsiada, który i sam osobiście zna się na łowiectwie i sam osobiście z zamiłowaniem poluje — bo mu ta sąsiedzka plaga ustawicznie wystrzeliwa zwierzynę — oczywiście bijąc i łanie i zające nawet w czas ochronny, zgoła co się trafi — bo sarn u siebie nie mają o co się taki Grześko *e tutti quanti* dawno postarali. Sam pan sąsiad dobrodziej Bogu ducha winien, — zresztą nie wypada jakoś prowadzić ustawicznych zatargów o jednego (??) głupiego zająca z sąsiadem, który choć jak tabaka w rogu jest ciemnym pod względem myśliwstwa, jest bardzo zacnym i prawym człowiekiem i pod każdym innym względem najlepszym sąsiadem i tylko się dziwić musi nawzajem swemu kochanemu sąsiadowi, że czasem taki weredyk i takie ma pretensye o głupiego zająca, co mu tam kiedyś jego Grześko na granicy zabił.

Wobec więc stanu rzeczy, jaki tu przedstawiłem nie podobna mi przesłać do „*Łowca*“ nawet w przybliżeniu sprawozdania, ile mogło w naszej okolicy paść w jednym sezonie gdzie i jakiej zwierzyny.

Żyd handlarz i żyd właściciel polowania, który swe prawo wykonuje za pomocą kłusowników do wspólnego zysku z pewnością, ani jeden ani drugi nie przyzna się, choćbym go nie wiem jak pytał, ile też przez ich ręce poszło w handel zabitej zwierzyny — tu muszę jednak zaznaczyć, że mówiąc o żydzie właścicielu dóbr i prawa polowania — które zapomocą kłusowników wykonuje — przyznać muszę, że trafia się to wyjątkowo, ale się trafia, zresztą prawie wszyscy inni izraeliccy właściciele dóbr i prawa polowania w naszej okolicy sami nie polują, jak Diller w Brzeżawie, Werner w Piątkowy, Ringiel w Brzósce i t. d. pozwalają z wszelką sąsiedzką uprzejmością swym najbliższym sąsiadom myśliwym polować u siebie bez żadnej pretensyi, jednakże nic nie wiedzą, kto tam co i ile jakiej zwierzyny kiedy u nich zabije — bo to im jest już zupełnie obojętne. Szanowna właścicielka dóbr w tem samem jest położeniu, że także nie wie ile jej tam kiedy uproszeni do pomocy myśliwi oddadzą zwierzyny.

Tam gdzie polują postępowo z nagonkami, jeszcze im jakoś nie przyszło na myśl prowadzić statystyki ubitej zwierzyny — albo może przez skromność nie chcą się nią chwalić, albo może dlatego, iż się żenują wykazywać niewielką ilością ubitej zwierzyny w proporcyi do zaprowadzonego postępu w łowiectwie za pomocą nagonki i strzelania gończych psów. Lecz żenować by się nie powinni, bo jak na wstępie wspomniałem, okolica Birecka jest górzystą a w górach choćby jak cywilizował — chciałem powiedzieć — choćby jak postępowo hodował zająca, nigdy nikt nie doprowadzi do tego, aby ich się tyle namnożyło, iżby na jednem polowaniu padło setki lub z górą tysiąc sztuk, bo do takiego rezultatu można doprowadzić tylko w rozległych równinach, o bujnej wegetacyi i łagodniejszym klimacie a nie w okolicach górzystych, co przecież od dawna jest rzeczą powszechnie wiadomą. Chociaż zliczywszy razem kilkanaście polowań n. p. w Birczy — pokazałoby się, że na jedno wyjdzie z tymi, co tylko raz do roku łowy generalne wyprawiają.

A znowu szanowny poczciwy i zacny pan sąsiad dobrodziej, który to wykonuje swe prawo polowania dla honoru przez swych pobereżników leśnych czy gajowych, Bogu ducha winien, nigdy nic nie wie i odseła po odpowiedź do starego Grześka — dobry sobie jest!

No, a od myśliwych starej daty — licha ten zje, nim kto od nich jaką prawdę wydobędzie, bo albo przeholuje cyfrę ubitych przez siebie zajęcy, sarn, dzików, lisów, kuropatw, jarząbków do tak nie do uwierzenia wysokich rozmiarów, że tylko rozśmiać się z tego, albo też z przeproszeniem nałże ci bez liku o różnych lisich „kunsztykach“, różnych przygodach z dzikami, przyczem cztery mile drogi naoprowadza cię po różnych wertepach i skałach i kiczarach, aż wreszcie osadzają go psy „patrz, ot tam na tej uboczy, pod tym najwyższym guzem — ale on mu już tam na przełaj przebiegł, strzelił i trafił w samą komorę tak celnie, że dzik padł na miejscu i ani zipnął. Przecież szelma szargnął mu kłem Grzmilasa i dyabelnie go rozpruł, jednak mu nic, wygoił się a jaki teraz cięty do dzika“! A umie to tak opowiadać, że człowiek mimo-

woli włóczy się myślą z nim po tych wszystkich wertepach, skałach i potokach, słyszy jak Grzmilas zaskowyczał, gdy go dzik ciął i widzi jak go psy na uboczy pod tym najwyższym guzem osadzają, a on od niego ze szczytu strzela i dzik pada na miejscu w pośród wściekle szarpiących go psów. Lecz nie ma czasu długo się tym widokiem bawić, bo niestrudzony mój myśliwy starej daty już mnie wiedzie swoim opowiadaniem na wzdymki, gdzie zając po nocy sto kluczek tam zrobił, sto razy przypadł a przecież go psy stamtąd wróciły do miejsca i zając tylko „meknął“ — wzięły go bez strzału — wnet potem już psy trafiają sarniuka, opowiada dalej niezmęczony myśliwiec, psy grają, że aż dusza się raduje, „bo to widzisz mam w głosach trójkę tak dobranych psów, że jak one zaczną gnać i sypać w różne tony, to niczem dla mnie żaden koncert, żadna muzyka — ale gdzie ty tam to zrozumiesz, pojmiesz i odczujesz, ty z nowej szkoły i wolisz może polowanie z nagonką“.

„Ale gdzież tam, podrywam szybko, korzystając z tego niby zapytania — aby nawzajem módz przyjść do pytania — ja przecież sam poluje z psami i tu zaczynam dowodzić, jak gdzie co i kiedy, aż przecie udało mi się uchwycić chwilę, w której mogłem postawić pytanie:“ ale kochany sąsiedzie, kiedy już mowa ł o tem i o owem, wiele też tak mniej więcej w tym roku padło u ciebie zwierzyny i jakiej?

Ile? a na co ci to wiedzieć — oho, pewno myślisz zdać o tem relacyę do „*Łowca*“ — widzisz go, delegat! słuchajże, co ci na to odpowiem — ani mój dziad, ani mój ojciec nie sprzedawali zwierzyny, więc też jej nie rachowali, to też i ja trofeów mego polowania na sprzedaż lub chwalbę nie chcę wystawiać — ot poluje człowiek dla rozrywki — komocyi i przyjemności, no i dla hartowania zdrowia — to są moje kąpiele choć nie w Karlsbadzie i nie wiesbadeńskie. A czytałeś kiedy statystykę, jaki procent ludzi najwcześniej umiera, a jaki procent życia najdłuższego u kogo? — Co nie czytałeś? nie wiesz tego? Otóż najdłuższy procent życia i zdrowa jest u żołnierza, jeżeli w wojnie od kuli nie zginie a jeszcze dłuższy u myśliwego, ale nie u tego, co to z nagonką, polując, przyjeżdża się z linii na linię i cały dzień na krzesełku siedzi. Otóż poluję jak powiadam dla rozrywki, przyjemności i zdrowia a nie dla handlu, zysku lub chwalby z ubitej zwierzyny — powiem ci szczerze i nazwij sobie to moje dziwactwo, bo czytam z twoich ócz, żeś sobie w duchu sto razy w ciągu naszej rozmowy powtórzył o mnie „dziwak“ — jak chcesz — mało mnie to obejdzie — że mnie gdybym tego zająca sprzedał, co go sam u siebie zabiję, zdawało by się żem sobie jakąś krzywdę wyrządził — nie mam też potrzeby rachować, co i gdzie się kiedy zabije i tobie tego do wiadomości podawać — więc „*dixi*“ i natem koniec i bądź łaskaw nie pytaj mnie oto więcej.

Niechże się więc kto co dogada z takim zacofańcem.

Trzeba mu było wytłómaczyć, że dla statystyki . . . ależ mówiłem, dowodziłem, lecz machnął ręką — „ej, co mi tam ze swoją statystyką przed nos wyjeżdżasz — rozumiem ja ją dobrze — ale co z niej, kiedy ona zawsze jest nieprawdziwą i niedokładną. Przyszlą ci ze Starostwa porubrykowane gotowe do tego blankiety — ale czy się chce komu prawdziwie je wypełnić — może tam gdzie kto i prawdziwą cyfrę poda — ale przeważnie, aby się zbyć, ot tak piąte przez dziesiąte — jednak pomijam to — lecz jakże się dowiedzieć, ile zwierzyny w kraju padło z rąk kłusowników — którzy z pewnością choć nie liczą jej według waszych nowo wymyślonych na jakichś tam „rozkładach“, nabiją jej więcej, niż wszyscy do kupy razem uprawnieni właściciele prawa polowania.

„A to prawda“, wyrwało mi się — nie przyszło mi to na myśl.

„Przyznajesz“ — widzisz więc, że mam racyę — nie całą powiadasz? niech będzie i tak — nie ma więc o czem mówić — skończone, punktum i basta.

Nie było rady, musiałem na tej odpowiedzi poprzestać i zamilknąć zwłaszcza, że pan Gelazy (bo tak się nazywa ten jeden z mych zacofanych myśliwych sąsiadów) jest to już człowiek starszy i o ile od drugich słyszałem, z tych myśliwych, co to naprawdę był i jest w całem tego słowa znaczeniu zawołanym myśliwym i znającym się na łowiectwie, a przed którym na tym punkcie — mimowoli trza było być z respektem. Zamilkłem więc — a podczas gdy pan Gelazy paląc fajkę z tureckiej prawdziwej stambułki na długim cybuchu o okazałym bursztynie, coś tam szperał i haczkiem poprawiał na kominku, ja przebiegałem myślą naszą rozmowę. Szczególniejszem jest u wszystkich myśliwych starej daty, co to polują z psami, ten ich zwyczaj, że w swych opowiadaniach z przygód myśliwskich umieją koloryzować wypadki i zdarzenia w najnieprawdopodobniejszy sposób a czem bardziej — że użyje poprostu tego słowa „łże“ tym więcej uważa to za finez dowcipu — nie powiem żeby to nie miało w sobie pewnego rodzaju wdzięku owszem nieraz przy takich opowiadaniach można się serdecznie uśmiać i wesoło ubawić, zwłaszcza gdy sami tacy znajdą się w większej kompanii i jeden drugiego stara się w opowiadaniu prześcignąć — dziwić się jednak muszę temu ich fałszywemu pojęciu co do sprzedaży upolowanego przez nich zająca, boć przecież nie dla samej przyjemności polowania dąży się do podniesienia stanu pożytecznej zwierzyny w kraju, ale też głównie i dlatego — żeby się z czasem to stało — źródłem dochodu i bogactwa tego kraju. Tak zapewne — gdy jednego lub parę zajęcy zabije — ale ciekawym, co by z niemi zrobił, gdyby ich tak z paręset na jeden dzień ubił — ot dziwactwo, myślę i dalej pogrążyłem się w rozmyślaniu.

Pan Gelazy widać zauważył to moje zamyślenie i czy mu się markotno zrobiło, że na moje zapytanie o rezultat ubitej zwierzyny odciął mi trochę szorstko, — czy że mu co innego na myśl przyszło, bo przerwał milczenie, zwracając rozmowę na sprawę języka łowieckiego i na sprawę dyskusyi w „*Łowcu*“ o używaniu słowa „sarnik“. „Już tam jak będziesz kiedy ze mną mówił o polowaniu, ciągnął szanowny mój interlokutor, to żebyś mi nigdy nie wspominał o jakichś tam „sarnikach, parostkach, rozkładach, rozmnożach, zakusach, zanikach, modłach, oczenach“ i t. d. Mnie bo zawsze „*Łowiec*“ temi swemi sarnikami i parostkami, jakby szpilki za paznokcie wbijał — ale mi to jakoś nie przyszło na myśl krzyknąć — „gwałtu — boli“ lecz widać, że nietylko ja sam jeden tego nieprzyjemnego uczucia doznawałem bo i Szap. hr. Tarnowski z Chorzelowa czuł to samo śmiało, kiedy o to Redakcyę „*Łowca*“ zainterpelował, ja mu zupełną słuszność przyznaję. A już na odjezdnem rzecze mi: A nie bież tam sobie do serca tych tam moich dixi — punktum i basta, bo uważasz mnie — koniec nie na tem — mam ja różne notatki z moich przygód myśliwskich, jeszcze od czasów kiedy to jako mały chłopak pierwszego

w lot zabiłem derkacza przed legawcem, więc jak chcesz to będziemy je przeglądać a za to nic nie żądam więcej nic, tylko żebyś mnie do raportu nie pociągnął o ilość ubitej zwierzyny a w rozmowie o polowaniu nie traktował mnie sarnikami i parostkami na tym tam waszym rozkładzie — proszę cię o to.

Po takim ostatnim słowie pana Gelazego niepozostawało mi już nic innego — jak ostatecznie pożegnać się, siąść na wózek i czmychnąć do domu.

Przepraszam że na chwilę zboczyłem od właściwego tematu i ze sprawozdania delegackiego o myśliwstwie i łowiectwie z okolicy Birczańskiej wpadłem na inną kwestyę, wracam ale do właściwej rzeczy, w której zakończeniu muszę podnieść, że choć mi się nie udało nigdzie zebrać w całej naszej okolicy, takich danych, ile gdzie na jakiem polowaniu ubito zwierzyny, aby i Bireckie mogło się wykazać, jaki tu jest mniej więcej stan zwierza, to natomiast zyskałem obietnicę od starego i doświadczonego myśliwca, że mi da swoje notatki ze swych przygód łowieckich do przejrzenia i pomyślałem sobie, a jeżeli też znajdzie się w nich co ciekawego? no to zaraz podzielę się tem z *„Łowcem"*, ot i będzie kompensata za nieudałe niniejsze sprawozdanie. A może się coś bardzo łatwo znaleść, bo to chodzi o starego i wytrawnego łowca, który pamięta i inne czasy i inne polowania, nieznane już dzisiejszym myśliwym, a których chętnie, niejeden z pierwszego źródła będzie miał ochotę dowiedzieć się.

A. Morelowski.



Zarządzenie c. k. Starostwa w sprawie wykonywania ustawy łowieckiej.

Bardzo nam jest przyjemnie, że możemy podać do wiadomości naszych czytelników bardzo dla ochrony łowiectwa korzystny okólnik, jaki Starostwo żółkiewskie w ostatnich czasach wydało. Brzmi on:

L. 21463. Żółkiew d. 26. lipca 1900.

Okólnik.

do wszystkich Zwierzchności gminnych i Magistratu król. wol. miasta Żółkwi.

Uprawnieni do samoistnego polowania, jakoteż dzierżawcy polowań gminnych prawie z całego powiatu, odnoszą się z ciągłemi skargami do c. k. Starostwa z powodu częstych przekroczeń ustawy łowieckiej, których dopuczczają się kłusownicy.

Wszelkie, bądź to przez uprawnionych do polowania, bądź też przez c. k. żandarmerye lub straże myśliwskie zapodane pojedyncze wypadki przekroczeń ustawy łowieckiej z d. 5. marca 1897 Nr. 71 Dz. u. kr. i ces. patentu o noszeniu broni z dnia 24. października 1852 Dz. p. p. 223, bywają przez c. k. Starostwo jak najsurowiej karane, a pomimo to ciągle odnawiające się skargi, w powyższym kierunku dowodnie świadcza, że prawie w każdej gmlnie jest jeden lub nawet kilku tak zwanych kłusowników, którzy bądź to dla zysku, bądź też z namiętności myśliwskiej nie chcą uszanować cudzej własności i dopuszczają się ustawicznie przekroczeń ustawy łowieckiej.

Wiadomo z doświadczenia, że im więcej takich indywiduów w gminie jakiej, tem z każdym rokiem bardziej upada stan zwierzyny łownej, a tem samem zmniejsza się wartość prawa polowania i zmniejsza sie czynsz dzierżawny w następnym okresie dzierżawnym, jednem słowem, zamiast podnosić się, upada w ten sposób w całym powiecie ta gałęź kultury krajowej.

Kłusownik, zachęcany łatwym sposobem zarobkowania, nie zważa ani na porę roku, ani na gatunek zwierzyny łownej, morduje wszystko, co mu pod lufę lub w sidła wpadnie, by następnie spieniężyć łup swój pokątnemu handlarzowi zwierzyny.

Przytoczona wyżej nowa ustawa łowiecka, nakłada nie tylko na żandarmeryę i zaprzysiężone straży myśliwskie, ale także i na wszystkie straże lasowe i polowe tak gminne jakoteż i obszarów dworskich obowiązek, czuwania nad przestrzeganiem jej przepisów i poleca strażom tym podawać do wiadomości c. k. Starostwa wszelkie dostrzeżone przekroczenia w tym kierunku.

Z tego wynika, że i pp. Naczelnicy gmin, którzy mają obowiązek czuwania nad należytem wykonywaniem służby straży polowej lub lasowej, również winni czuwać nad tem, by ta straż baczne oko zwróciła i na kłusowników i by o każdem przekroczeniu donosiła Zwierzchności gminnej, która ze swej strony poda te przekroczenia c. k. Starostwu do dalszego urzędowania.

Nie mniejszą plagą od kłusowników są psy włóczące się po polach i lasach. Rzecz to sprawdzona i nie wątpię, że i Zwierzchności gminnej dobrze wiadomo a że główną przyczyną wałęsania się psów po polach, jest ta okoliczność, że gospodarze, wychodząc w pole na robotę, lub też pastuchy pędząc bydło na pastwiska, pozwalają psom swoim iść za sobą, i w ten sposób rozwłóczają psa, który gdy raz sprobuje uchwycić młodego zająca lub sarnę, staje się niebezpiecznym wrogiem zwierzyny, nie trzyma się więcej obejścia, i z pożytecznego stróża domowego staje się szkodnikiem, którego na równi ze zwierzyną szkodliwą, tępić należy na każdym kroku.

Gdy wedle brzmienia §. 43 powołanej ustawy łowieckiej, za włóczącego się psa i kota ma być uważany każdy pies i kot, przydybany w polu lub w lesie, w dalszem oddaleniu, jak 300 metrów od domu mieszkalnego, przeto takie psy i koty włóczęce się, winne być bezwarunkowo

strzelane przez straż myśliwską, polową lub leśną, jak również jest uprawniony do strzelania tychże właściciel lub dzierżawca prawa polowania.

Polecam przeto pp. Naczelnikom gmin ogłosić w swo jej gminie wyraźny zakaz brania psów ze sobą w pole, lub do lasu, oraz przestrzegać tego zakazu jak najściślej, wzywając straże polowe i leśne do czuwania nad tem, a w razie popełnionego przekroczenia w tym kierunku przez kogokolwiek, należy natychmiast zapodając świadków, donieść o tem c. k. Starostwu, celem ukarania.

Wreszcze ostatnim a może najniebezpieczniejszym wrogiem użytecznej zwierzyny łownej, przeciwko któremu każda Zwierzchność gminna i Magistrat miasta Żółkwi skutecznie wystąpić mogą i powinni: to pokątny handlarz zwierzyny.

Nowa ustawa łowiecka, która w przepisach swych dąży z całą stanowczością do podniesienia w kraju stanu pożytecznej zwierzyny łownej, wyraźnie postanawia w §. 36., że sprzedaż łownej zwierzyny przez handlarzy odbywać się może tylko za okazaniem świadectwa jej pochodzenia. Świadectwo takie z podaniem gatunku i ilości zwierzyny wydawać będą uprawnieni do wykonywania prawa polowania lub ich pełnomocnicy ze swojego okręgu myśliwskiego.

Dla dokładnej informacyi pp. Naczelników gmin, podaję poniżej wzór takiego świadectwa wedle rozporządzenia wykonawczego do §. 36. ustawy łowieckiej.

Świadectwo pochodzenia zwierzyny.

Dla pana . . . . (imię i nazwisko) handlarza zamieszkałego w . . . .

Następująca zwierzyna, a mianowicie:
. . . . (ilość i rodzaj zwierzyny) . . . .
pochodzi z okręgu polowania . . . .
samowolnego / gminnego . . . .
. . . . . . dnia . . . .
N. N. . . . . w . . . . . .
(miejsce zamieszkania) (uprawniony do polowania)
(L. S.) (pełnom. uprawnionego do polowania p. N. N.
w . . . .

Wedle §. 37, po upływie 14 dni od rozpoczęcia się czasu ochronnego i podczas dalszego trwania tego czasu, nie wolno objętej ochroną zwierzyny żywej czy zabitej w całości lub częściach, sprzedawać na składach, targowicaach i restauracyach lu w inny jakibądź sposób.

Dla lepszego zorjentowania się, podaję poniżej czas ochrony zwierząt łownych, według §. 33 ustawy łowieckiej, wyszczególnając tylko tę zwierzynę, która w powiecie tutejszym się znajduje.

Z tabliczki tej poweźmie Zwierzchność gminna dokładną informacyę czasu ochrony dotyczącej zwierzyny, przyczem zauważam, że ciemne pola oznaczają miesiące w których zwierzyny zabijać nie wolno.

(Tutaj podany kalendarz myśliwski).

Podając dokładnie przepisy tych dwóch paragrafów ustawy w mowie będącej, polecam pp. Naczelnikom gmin i Magistratowi miasta Żółkwi zwrócić szczególną uwagę na handlarzy zwierzyną i o każdem choćby podejrzanem przekroczeniu w tym kierunku donieść c. k. Starostwu celem pociągnięcia winnego do odpowiedzialności.

Przypomniawszy w ten sposób Zwierzchności gminnej i Magistratowi miasta Żółkwi poszczególne przepisy tylekrotnie wspomnianej ustawy łowieckiej, oznajmiam równocześnie, że Okólnik ten i zawarte w nim rozporządzenia, wydaję na podstawie §. 73. tej ustawy i wyrażam nadzieję, że tak wszyscy pp. Naczelnicy gmin jakoteż Magistrat miasta Żółkwi poprze usiłowania moje w kierunku poprawy zwierzostanu w powiecie i ze swej strony zarządzi wszystko, co tylko do powstrzymania kłusownictwa i podniesienia stanu zwierzyny przyczynić się może— donosząc przytem o każdem przekroczeniu, celem pociąwinnych do odpowiedzialności. Tym pp. Naczelnikom krórzy energicznem wystąpieniem przeciw kłusownikom, pokątnym handlarzom zwierzyny się odznaczą i którzy zapobiegną zwyczajowi brania ze sobą psów w pole i wogóle, którzy otoczą szczególną opieką swoją zwierzynę łowną, nie omieszkam wyrazić w swoim czasie uznanie szczególnej zasługi, położonej w tym kierunku kultury krajowej.

W końcu polecam Zwierzchności gminnej i Magistratowi miasta Żółkwi, ażeby jak najobszerniej ogłosił treść niniejszego okólnika i zawarte w nim rozporządzenia i o tem mi do dni 14 doniósł.

Za c. k. Radcę Namiestnictwa
Rudnicki w. r.



KORESPONDENCYE.

Jaworów, d. 5. czerwca 1900.

Nagroda Dyany.

Gdybym przytem nie był, to sambym nie wierzył w możliwość tego na co własnemi patrzałem oczyma.

Dnia 27. czerwca b. r. miałem wspólnie z p. L. czynność w Wielkich oczach. Korzystając z łaskawego pozwolenia państwa baronów Hagenów, wyjechaliśmy późno wieczorem do lasu na podjazd na rogacza, tak, że dopiero o 8-mej wieczorem byliśmy w lesie.

Niebo było zachmurzone, tak dalece, że trzeba było mieć wzrok bardzo dobry, aby rozpoznać rogacza.

Jedziemy z pół godziny i dopiero o zmroku spotrzegamy dwie sztuki sarn, żerujące na zrębie. Podjechawszy je na jakie 60 kroków, przyszliśmy do tego przekonania, że większa sztuka jest kozą, a mniejsza, lecz również zu-

pełnie wyrośnięta, rogaczem o bardzo słabych rogach. Wśród tych naszych obserwacyi sarny pomknęły, lecz ubiegłszy kilkaset kroków, poczęły znów żerować. Podjeżdżamy je powtórnie i dojeżdżamy na 50 kroków. Wtenczas p. L. proponuje mi, abym strzelał. Ja jednak widząc małe rogi, powiedziałem p. L., jeśli chce, aby sam strzelał, gdyż mnie się zdaje, że kozioł jest widłakiem o słabych rogach. Pan L. jednak, rutynowany myśliwy, zrobił jak się później okazało szłuszną uwagę, że rogacz ten na widłaka, jest za duży, a gdy ja stanowczo strzelać nie chciałem, zdecydował się na strzał. W tym celu zeskoczył z wozu, a gdy już do strzału był przygotowany, kazałem i ja stanąć.

W chwili kiedy wóz stanął, pomknęła z miejsca dalej stojąca koza, a za nią rogacz w oddaleniu 15 do 20 kroków. Gdy p. L. strzelał, rogacz był w pełnym biegu, a sarna znikła mi w krzakach.

Rogacz padł w ogniu. Kula ekspresowa z kalibru 450 ścięła leń ekspanzywna, weszła w kark, w pierwszej czwartej części jego długości licząc od komory, a wyszła przebywszy w karku ukośną drogę w trzeciej, czwartej części karku. Okazało się, że rogacz, był to wyrośnięty trzylatek, myłkus nieparzysty dwunastak. Teraz byłem zły na siebie, żem nie strzelał, lecz trzymając się zasady

„Zazdrościć bliźnim szczęścia nigdy nie uchodzi,
„Szczęśliwy kto z swym losem zawsze się pogodzi“.

złożyłem panu L. życzenia, a gdy noc już prawie zapadła pojechaliśmy do pałacu w Wielkich oczach.

Wśrod drogi zauważyłem, że p. L. nie był tak wesołym i uradowanym, jak przystało myśliwemu, który tak pięknego zastrzelił myłkusa.

To samo usposobienie zachował p. L. wśród reszty wieczora, co mi było tem dziwniejsze, że salony Wielkoockie mają dzięki gościnności i uprzejmości gospodarstwa to do siebie, że nawet smutnych zmuszają do zapomnienia o smutku.

Rozeszliśmy się około 11 godziny z postanowieniem pojechania na podjazd ranny na zajestrze. Gdym już oddawał sie opiece Morfeusza, wchodzi do mojej sypialni p. L. smutny i złamany i oznajmia mi, że od jego strzału, który położył na miejscu rogacza, padła i koza, o czem w lesie żenował mi się powiedzieć, i przyszedł poradzić się jak wybrnąć z tej fatalnej sytuacyi.

Po wspólnem porozumieniu postanowiliśmy, że kozę przywieziemy dnia następnego, a oddając takową, złoży p. L. kwotę 50 K. na ręce gospodyni na cele humanitarne. Któż jednak opisze nasze zdziwienie, gdy przyjechawszy dnia następnego, na miejsce wczorajszej katastrofy, zamiast kozy znaleźliśmy rogacza również myłkusa z prawym w tył wychylonym rogiem krótkim, prostym, operlonym aż do góry. W miejscu korony drobniutko operlona kula. Lewy zaś róg również prosty więcej ku przodowi pochylający się, nad koroną zaś wyrasta odnoga dosięgająca aż prawie do oka lewego. Kula przeszła rogacza na wylot przez krzyże.

Żeby na jeden strzał, kulą zastrzelić dwa rogacze, i żeby te oba rogacze były pięknymi myłkusami, to stać się tylko może p. L., którego w ten sposób chciała wydocznie wynagrodzić Dyana, za figle spłatane mu przy popisowem strzelaniu we Lwowie.

K. Strzemie.



Kronika.

Psy w wojnie transwaalskiej. Niedawno temu czytano o wypadku, że Burowie uchronili się przed niespodziewanym napadem Anglików z pomocą swoich psów, które z chwilą, gdy Anglicy o świcie, niespostrzeżenie doszli do okopów burskich, narobiły hałasu i uniemożliwiły atak. Jest to charakterystyczną własnością psów kafarskich, używanych przez Burów, że śpią oni głębokim snem w nocy i dopiero przed świtem się budzą — gdyby Anglicy trochę wcześniej byli atak przedsięwzięli, byłby im się udał. Obecnie powzięto myśl użycia psów do wyszukiwania rannych na polu bitwy. Najlepsza rasa byłaby rasa psów z góry św. Bernarda. Na nieszczęście psy te nie wytrzymują gorąca, oprócz tego nie mają dobrego wiatru, jak n. p. psy tropowce. Jakaś dama, współpracowniczka „*Kennel Gazette*“, radzi używać chińskie psy „Mou-chou“, jako mające najwięcej temperamentu i najlepsze psy stróże — gdyż znak o zbliżaniu się niebezpieczeństwa dają one nie przez szczekanie, ale przez wydawanie cichszych odgłosów, jak warczenie, parskanie etc. Przeszkodą jest tu znowu to, że pies taki powinien być dość silny, żeby mógł nieść dwie przynajmniej butelki, jednę z wodą, drugą z innym odpowiednim płynem — pies chiński nie nadaje się do tego. Wymagaćby należało także i tego, żeby pies wojenny był dostatecznie silny, żeby z psem przeciwnej strony mógł stoczyć w razie potrzeby walkę. Na to trzeba stworzyć osobną rasę psów. („*Le chenil*“).

Polowanie na tygrysa. Dziennik angielski „*Field*“ podaje następujący interesujący opis polowania w Indyach.

Nadchodziła pełnia — przywiązaliśmy krowę wśród labiryntu jarów i potoków w Baghsote, znanem schronisku tygrysów zbudowaliśmy na drzewie o gęstem liściu rodzaj schronienia, które miało nam służyć za miejsce do obserwacyi. Pierwszej nocy znaleźliśmy krowę zabitą i wyraźnie tropy tygrysa. Popołudniu następnego dnia udaliśmy się na miejsce naszej zasadzki i zajęliśmy miejsce na drzewie, tak szybko, jak tylko można było, postanawiając, jeżeli będzie potrzeba spędzić tam noc całą. Czekaliśmy długo — dopiero koło 7-ej pokazały się nam w gąszczu wspaniałe pręgi czarno-czerwone. Tygrys, wspaniały samiec, idzie prosto na śmierć, lecz o 30 metrów od nas kładzie się nagle na ziemi i ogląda się na około. Bojąc się, że coś wzbudziło jego nieufność i że może się cofnąć, strzelam. Kula moja dosięga jego łapy przedniej i łamie ją. Tygrys poczyna się kręcić w kółko gryząc z wściekłością zranioną łapę, strzelam drugi raz i trafiam go w grzbiet, jednak nie kładę go na miejscu. Tygrys wydaje ryk wściekłości i... ucieka. Posyłamy po naszego słonia, zanim jednak przybył on, zrobiło się tak ciemno, że niemożna było zapuszczać się na szukanie zranionego zwierzęcia i musieliśmy to odłożyć do dnia następnego. Nazajutrz o godzinie 5-tej rano jest śmy już w drodze, konno jedziemy na Baghsote, gdzie na nas czeka słoń. W miejscu naszej wczorajszej zasadzki setka sępów kręci się nad resztkami krowy i stacza o nie walki. Widać także ślady i to świeże, jakiegoś zwierzęcia — są to ślady pantery, która przyszła w nocy także po część zdobyczy. Siadamy na słonia, który na nieszczęście jest mały i stary. Ekspedycya nasza składa się z nas dwóch, z dwóch kulisów i czterech innych ludzi — razem ośmiu. Sumiennie przeszukujemy dolinę, w którą zapuścił się tygrys, kierując się za śladem zaschłej farby i za tropami. Wkrótce jednak spostrzegamy ślady świeżej farby na liściach w dopiero co opuszczo-

nem legowisku, a trochę dalej takie same ślady na piasku i na kamykach z dwóch stron strumienia, przez który tygrys musiał tam i napowrót przejść. Każemy wszystkim naszym ludziom postępować za słoniem i posuwamy się wolno parowem. który z każdym naszym krokiem zwęża się coraz bardziej, W końcu dochodzimy do miejsca, gdzie krzaki są tak gęste. iż słoń dalej już postąpić nie może — tutaj musimy się zatrzymać. Po naradzie posyłamy kulisów na zwiady. Czekamy na nich długo i w końcu znudzeni tem czekaniem, zsiadamy ze słonia i sami poczynamy się drapać po lewej ścianie parowu — droga ciężka i męcząca, bo kamienie usuwają się z pod naszych nóg, a prawie nie ma żadnych ziół lub krzaków, na których możnaby się zatrzymać. W końcu dochodzimy do szczytu ściany — jest to grzebień, po którym idąc mamy po naszej lewej stronie przepaść, po prawej ścianę kamienistą parowu, po której wydrapaliśmy się. Nie wiele możemy widzieć w tym parowie, dół jego bowiem zarosły jest gęstymi krzakami i powojami, ale druga strona parowu jest widoczna i widzim poruszających się naprzód naszych dwóch kulisów. Zajęliśmy w końcu pozycyę dominującą nad całym parowem i w przekonaniu, że tygrys obległ na przestrzeni między nami a miejscem, gdzie pozostawiliśmy słonia, zostawiamy ludzi na przeciwległym szczycie parowu, żeby rzucali do niego kamienie i w ten sposób wypędzili nam tygrysa. W tem jeden z ludzi rzuca się gwałtownie i wydaje okrzyk — usłyszał on mruczenie tygrysa, posuwającego w kierunku słonia. Wszyscy natężają uwagę — tygrys mruczy wyraźnie dwa razy, potem zapada milczenie. Słyszy się tylko spadanie kamieni. Tygrys chyba nie żyje już. Wracamy ku słoniowi — ale dla ostrożności każemy kulisom wydrapać się na drzewa celem obserwowania parowu. W tem ryk przerywa powietrze potem następuje kilka strzałów. Jeden z kulisów opuścił drzewo i chce włazić na drugie, gdy wtem tygrys, który biegł jego śladem, skacze za nim. Wspiąwszy się na tylne łapy, chwyta w paszczę nogę kulisa i rozdziera ją, rycząc z wściekłością. Na szczęście nie jestem daleko — korzystając z chwili w której rozwścieklony zwierz opada na przednie łapy strzelam i wsadzam mu kulę, jedną w szyję, drugą w komorę. Zwierz pada i stacza się w dół. Za naszem zbliżeniem się spada także z drzewa biedny kulis. Kona on nam w oczach — kły tygrysa rozdarły wielką arteryę nogi — krew uszła go zupełnie i ratunek wszelki niemożliwy. Gdyby tygrys nie był się zatrzymał i zapędził za tym człowiekiem, każdy z nas był w tem samem niebezpieczeństwie. Trwało to wszystko tylko chwilę, ale jak straszną była ta chwila. Ciekawy i wzruszający widok, tygrys i człowiek leżeli obok siebie, jak dwóch przyjaciół, bo kulis konając położył oczywiście mimowolnie, rękę na szyję tygrysa.

Tygrys, którego skórę i łeb zachowałem, jest jednym z najpiękniejszych samców, jakich widziałem, z głęboką piersią i z potężnymi łapami“.

Francuzi, u których zbieralna gospodarka łowiecka doprowadziła do tego, że oprócz zarezerwowanych polowań, które posiadają większą lub mniejszą ilość sztucznie wychowanej zwierzyny, w całym kraju zwierzyna jest prawie zupełnie wybitą, mają pole — do popisów na ten temat. Doskonałą charakterystykę nemrodów, z całą powagą i przyjęciem się wybierających się na łowy, których przedmiotem w najlepszym razie jest skowronek, a gdy tej grubej zwierzyny nie ma, rzecz kończy się na strzelaniu do kaszkietów, rzucanych sobie nawzajem w górę, podaje Daudet w swoim niezrównanej historyi Tartarina z Tarascom. Podobnie przejęty ważnością zadania był ów kapitan „Pamplite“ z Chasse illustrie. której końcy opowiadanie: Zraniłem zwierzynę dość ciężką i z wytrwałością Indyanina szedłem za jej tropem, aby ją dobić uderzeniem kolby. „Co to była za zwierzyna“, pyta się ktoś z boku siedzący. Skowronek, odpowiada z dumą, przedstawiciel nowożytnego łowiectwa we Francyi. Doskonały jest także wzór sprawozdania o wyniku polowania, jakie zamieszczać będą dzienniki sportowe za lat 20, jeżeli stosunki łowieckie tamtejsze nie ulegną zmianie. Np. „Uważamy sobie za obowiązek zawiadomić naszych czytelników o wspaniałym rozkładzie, jaki osiągnął znany Nemrod departamentu Y., markiz X. w dwóch dniach polowania. Rozkład ten odznacza sie tak ilością ubitej zwierzyny, jak i jej różnorodnością. Nie nadużywamy dłużej cierpliwości naszych czytelników — markiz X. położył w tych dwóch dniach 2 skowronki, jedną kurkę wodną, trzy wróble i jednego... szczura. Bąk, którego rozległe bagna tamtejszej okolicy, jeszcze kilka egzemplarzy kryją, nie dał się podejść na strzał. Markiz strzela z doskonałych strzelb Victoria Smkll arms“.



Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. *Wydział.*

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.